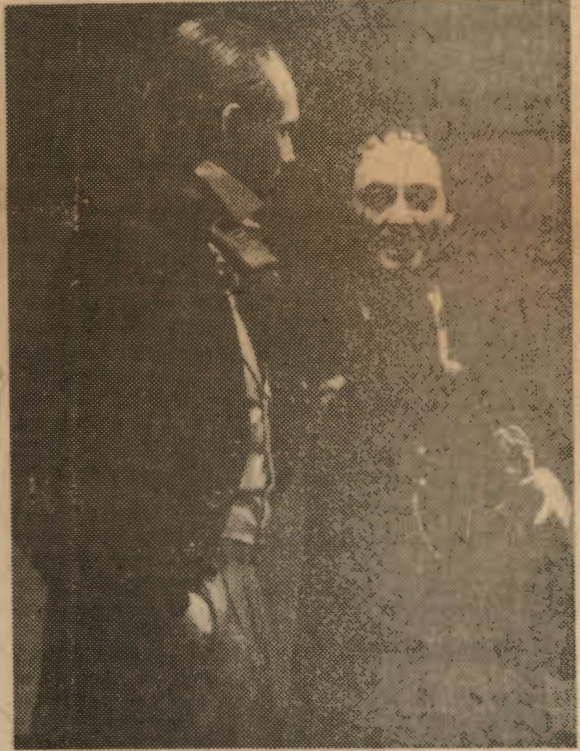


665



„FANTAZY” W KAPCIACH

„Fantazy” Słowackiego w reżyserii Mikołaja Grabowskiego rozpoczyna się w scenerii jakby żywcem ściągniętej z „Trzech siostr” Czechowa w inscenizacji Jerzego Jarockiego. Pusty salon wiejskiego dworu ogołocony z mebli, obrazów, dywanów ze wszystkiego. Oczywiście w poznańskiej inscenizacji znaczy to co innego: wskazuje na ubóstwo hr. Respektów, którzy zapewne wyprzedają się z czego tylko mogą, byle przetrwać jakoś i zapobiec kompletnej ruinie.

To nawet ładny pomysł inscenizacyjny i plastyczny, przejrzysty i oszczędny. Potem pojawia się jakiś złowrogi, dzięki krajobraz, jak z romantycznej powieści grozy. Ma to niby znamionować stan duszy bohaterów, ich szaleńcze uczucia i dziką rozpacz. Następnie — „śliczny” dworek Idalii i efektowna kreacja teje. I wreszcie obraz najbardziej wystylizowany — pejzaż cmentarny, las dziko rosnących, zapomnianych krzyży.

W tej ostatniej scenerii Major deklamuje z patosem swój przedśmiertny monolog. Ale mówi z coraz większym trudem. Przeprowadzając gestem pokazuje więc widowni swoją, powalającą czerwoną farbą, koszulę. Co za precyzja — myślę sobie. Palną sobie w samo serce ale tak, by zdążyć się jeszcze wygadać. Kurtyna zapada wkrótce w niemym zachwycie. Ale zanim to nastąpi oglądamy w akcji osobliwe postacie: Fantazy — neurastenik i bufon, niczego do końca nie rozumie; Idalia — egzaltowana histeryczka; Diana — odpychająca heroina, co ten Fantazy w niej widzi; Stella — infantylna kocha; Major — posąg na koturnach i jeszcze z marmuru; wreszcie Jan — połączenie chłopca pańszczyźnianego z Filonem.

Niesamowitą metamorfozę przejść musiał „Fantazy” Słowackiego zanim zaprezentowany został P.T. Publiczności w Teatrze Polskim. Najpierw — jak wieść środowiskowa niesie — go traktowano został parodystycznie, i to w sposób zdecydowany, wręcz karykaturalnie. Postaci reprezentowały różne dewiacje psychiczne, deformacje charakterologiczne, patologię w sferze seksu. To wszystko w połączeniu z drobiazgowym szczegółem naturalistycznym miało dać efekt groteskowy. Koncepcja ta wszakże nie zyskała aprobaty dyrektora teatru, który — na odwrotną — zrobił „Fantazego” po bożemu, z pewnym patosem, na koturnach,

w wersji muzealnej, bez widocznej, co nie znaczy nieobecnej, myśli przewodniej. Zrobił dosyć drętwą piłę szkolno-lekturową, a więc powierzchownie, nobliwie i ostrożnie. I tożłóżył się dokumentnie.

Z dwójgą złego lepiej jednak rozłożyć się w cyrku niż w muzeum. W cyrku pomyśla, że tak być właśnie miało, natomiast przewodnik w filcowych papciach, rozciągnięty na muzealnej posadzce, przestaje być wiarygodny. Jeśli więc miałbym wybierać między reżyserem, który „ma pomysły”, a reżyserem który dorzyna mnie szkolną lekturą, wolę tego pierwszego. Zresztą, kiedy interes się wali, a klienci omijają go z daleka, lepiej stanąć w wityrnie i — przeproszam za brutalność — spuścić portki niż ustawić w niej popiersie wieszczą.

Obrotny menager — nie ma co ukrywać — potrafiłby z konfliktem reżysera z dyrektorem wyjść obronną ręką i jeszcze sięgnąć po sukces. Bo mówiąc prawdę, jeśli na widowni zasiada dwadzieścia kilka osób każde ryzyko się opłaca, a potrzeba jest matką wynalazków. Można było na przykład zastosować wariant samorządowy a zatem urządzić spektakl zamknięty (z pierwszą wycofaną wersją „Fantazego”) i wysłuchać następnie opinii widzów. Być może konsumenci, do brani według socjologicznego klucza, zaaprobowaliby ten pierwotny produkt. Byłaby to niewątpliwie pierwsza samorządowa premiera w Polsce, pierwszy samorządowy teatr, w którym żaden tam Pan Artysta bez społecznej konsultacji niczego arbitralnie nie przedsięwzięnie.

Można by zastosować także inny wariant tzw. alternatywny. Rzecz polegałaby na tym, że pierwszego dnia grałoby się wersję Reżysera, a drugiego dnia — Dyrektora. Albo do przerwy — to co wymyślił Reżyser, a po przerwie — dalszy ciąg, ale już wedle koncepcji Dyrektora. Optymal-

nym rozwiązaniem byłby wszakże wariant samorządowo-alternatywny. Otóż, przed rozpoczęciem przedstawienia obaj reżyserzy musieliby przed kurtyną reklamować swoje koncepcje. Następnie publiczność oklaskami lub okrzykami głosowałaby za wersją, którą danego wieczoru pragnie obejrzeć. Byłby to najbardziej demokratyczny teatr świata. Widziałem już coś podobnego, ale niepełnie to samo, w Zimnertheater z Tübingen. Z bardzo dobrymi efektami. W odmianie plebejskiej wariantu samorządowo-alternatywnego publiczność mogłaby reżysera niechcianej koncepcji obrzucić pomidorami. Mało jednak prawdopodobne, by ten sposób uzewnętrzniania opinii zyskał społeczną aprobatę z uwagi na wysoką jeszcze do niedawna, cenę pomidorów.

Podobno przeciwnikami wersji Reżysera byli przede wszystkim aktorzy. Szkoda, że nie oprotowali owej koncepcji zaraz na początku. Późno ocknął się również Dyrektor. W wersji pierwszej aktorzy występowałiby — być może — w charakterze białonów, za to w tej nowej realizacji przyszło im grać kabotyńców. A nie wiem co lepsze, i co bardziej wypada.

Nie bardzo rozumiem, co chciał ratować Mikołaj Grabowski, upierając się przy nowej koncepcji? Przecież ani sezonu, ani teatru nie było już wtedy nie mogło uratować. Tym bardziej, że nie było już chyba nikogo, komu by na tym zależało. Grabowski okazał się zupełnie bezradny wobec „Fantazego”. Nie wyciągnął żadnych wniosków z tradycji inscenizacyjnej tej sztuki. Wydaje się iż doprowadzenie do nowej wersji było raczej kwestią honoru niż potrzeby twórczej. Grabowski zadowolili się po prostu innym sposobem teatralizacji, nie starczyło jednak czasu, a może i serca, na myślenie. W efekcie nie wiadomo w ogóle o co reżyserowi nowej wersji chodziło, bo zapewne o coś chodziło.

Najgorzej na tym wszystkim wyszli aktorzy, którym serdecznie współczuję.

Błażej KUSZTELSKI
Fot. R. Jasionowicz